

Niniejszy tekst jest własnością intelektualną autora.

W celu jego wykorzystania należy się z nim skontaktować

URODZINY

Kameralna sztuka

w trzech aktach

Autor: Agata Jabłonowska - Turkiewicz

AKT I

Scena 1

Gabinet ginekologiczny. Lekarz, siedząc przy biurku, przegląda dokumentację, ciężarna pacjentka siedzi naprzeciwko.

Lekarz: To który to już tydzień tej ciąży mamy?

Pacjentka: Trzydziesty dziewiąty.

Lekarz: O! To dobrze! To pani przyjdzie do mnie w sobotę, akurat mam dyżur i szybciotko sobie urodzimy. W weekend jest spokój, anestezjolog nie ma dużo roboty, bo na ten dzień nie planujemy operacji... I jakieś znieczulenie załatwimy... No może też być cesarka, jak pani odmówi normalnego rodzenia i papier podpisze.

Pacjentka (*jakby wyrwana z zamyślenia*): Jaki papier? Nie bardzo rozumiem... Jaka cesarka? Jak mały zechce, to sobie wyjdzie... W sobotę? No nie wiem... Może jednak poczekać, tak dziecka nie poganiać?..

Lekarz: No możemy niby czekać, ale niech się pani jeszcze zastanowi. O żadnym poganianiu nie może być mowy. Raczej chodzi o planowe, w pełni kontrolowane rozwiązanie. Decyzję pozostawiam rodzącej. W razie czego – zapraszam na 10.00. Do 14.00 trzyma pani dziecko na ręku. To pani gwarantuję. A teraz szybciotko lecę na górę do innej pacjentki, bo zaczęła rodzić.

Pacjentka: (*lekko ironicznie*) Taki szybciotki pan doktor jest.

Lekarz: No muszę! Odkąd roczny urlop macierzyński mamy, to dzieci rodzi się, że hej! A ile kobiet przed czterdziestką na trzecie dziecko się decyduje! Jednak dzieci to podstawa. Model dwa plus pies się wypalił... Ha, ha...

(Wstaje i gestem zaprasza pacjentkę do wyjścia)

Scena 2

Pacjentka *(ta sama co w scenie 1, powoli, nawet ospale, wychodzi i siada na krześle w poczekalni, szuka czegoś w torbie, wyciąga różne rzeczy, min. wodę w butelce, zaczyna popijać):* Co on z tym szybciotko? Co to znaczy urodzimy? Co to, kurwa, znaczy MY? Przecież to JA będę rodzić, nie on. Odkąd faceci dostali się na porodówkę, od razu przypisali sobie co najmniej połowę zasług w rodzeniu. Jesteśmy w ciąży! Tak niektórzy panowie mówią, spoglądając na swoje żony z okazałymi brzuchami. No to jak tak jesteście, to może weźcie na siebie te zgagi, mdłości, a czasami nawet rzyganie poranne, te bóle kręgosłupa, spuchnięte nogi, huśtawki nastrojów. Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy! Po urodzeniu pierwszego syna wszyscy dopytywali: Razem z mężem pani rodziła? Jak poradził sobie mąż? Czy mąż nie zemdłał? No! Dzielnego ma pani męża! – to słowa położnej. No! Mam dzielnego męża! Bohatersko mnie trzymał za rękę, kiedy mnie rozrywało na pół. Normalnie jak na wojnie się czułam. Krew, pot i łzy. Jakby mi ktoś w brzuch granat rzucił. A mąż – bohater. Tak wygląda męskie, współczesne bohaterstwo. Kiedyś było jeszcze lepiej – ona rodziła, on z kolegami wódkę pił. O Boże! A teraz ten doktor! Bohatersko zleci mi kroplówkę z oksytocyną. Albo pęcherz płodowy przebije... Jak Staśka rodziłam, to lekarza w ogóle nie było. Noc była za to głęboka i czarna, wszyscy wkurzeni, położna najbardziej. Larwa taka. Czy pani chce udusić własne dziecko? No jasne! Dobrze, że byłam nieprzytomna z bólu, bo bym ją wyklinała wszystkimi bluzgami, jakie znam. No znaczy w sumie niewieloma, bo rzadko przeklinam. Moja babcia opowiadała, że jej mama rodziła szóste dziecko trzy dni. I w

końcu zmarła. Wcale jej się nie dziwię. Ja też bym umarła. Nawet szybciej. I ta moja babcia zawsze sobie powtarzała, żeby tylko dużo dzieci nie mieć, bo to i ból jest, i nawet śmierć może się zdarzyć, jak się je na świat wydaje. Dlatego urodziła tylko moją mamę. A moja mama, jak rodziła mnie, to jakby głos jej odebrało. Nie mogła nawet pisnąć, choć miała ochotę drzeć się w niebogłosy. Urodziła mnie w końcu, a potem jeszcze dwoje dzieci, choć tak naprawdę ja i moja siostra nie byliśmy planowane. Ja – bo mama była młoda i chciała iść na studia, a siostra pojawiła się wtedy, kiedy mama była już po czterdziestce i chciała mieć spokój. Tylko brat pojawił się w dobrym czasie. Czyli tak zupełnie planowo to moja mama tylko jedno dziecko urodziła.

Ja sama do ciąży i rodzenia dużego przekonania nie miałam. I może dlatego, choć to trochę zabobonne jest myślenie, pierwszej ciąży nie donosiłam. Lekarz podczas kontrolnego USG wpatrywał się nerwowo w monitor i w końcu, przestraszony, bo to młodziutki facet był, jeszcze nie przyzwyczajony do przekazywania złych wiadomości, powiedział, że nie wyczuwa tętna płodu. Ale co to znaczy? – ja się pytam i lzy mam w oczach, a w gardle rośnie mi gębel. Co to znaczy? No nastąpiło samoistne poronienie. To się zdarza we wczesnych stadiach ciąży. I tak patrzy na mnie i nie wie, co dalej robić. Więc wstałam z tej leżanki, założyłam majtki i wróciłam do domu. I płakałam cały wieczór, i mój mąż też płakał i nie wiedzieliśmy, co robić. Więc następnego dnia zadzwoniłam do znajomej położnej, a ona, że to jakiś dureń wypuścił mnie po tym USG do domu, że powinnam wrócić do szpitala na wyłyżeczkowanie macicy. No to z powrotem do szpitala, ale już innego, żeby na tego durnia nie trafić. W stolicy jest wiele szpitali położniczych, więc można jeździć cały boży dzień i szukać najlepszego. Ale na wyłyżeczkowanie macicy to taki znowu super szpital nie był potrzebny, więc w jakimś zupełnie przeciętnym wszystko poszło błyskawicznie, szast prast, narkoza i koniec. Koniec ze zdrowym stylem życia, ćwiczeniami rozciągającymi co rano,

ćwiczeniami oddechowymi co wieczór, smarowaniem brzucha najdroższym z możliwych kremem przeciwko rozstępom. Do palenia fajek można było wrócić, piwo wypić...

(na korytarz wychodzi położna i zagaduje do Pacjentki, oparta o futrynę gabinetu)

Położna: Pani źle się czuje?

Pacjentka: Nie, nie... Coś sobie przypomniałam po prostu...

Położna: Ale pani blada jest.

Pacjentka: Może i jestem, tak jak te wspomnienia...

Położna: Proszę myśleć pozytywnie. Zaraz rozwiązanie będzie. Rodziła już pani?

Pacjentka: Tak. Syna jednego mam już w domu. Ten będzie drugi.

Położna: O! Moja droga! Ja trzech chłopaków wychowałam! Młodość przy pralce i kuchence spędziłam. I w kolejkach po mięso. Bo ciągle chcieli jeść. Chłopiska jak dęby wyrosły, mówię pani. Teraz to i gotowy makaron można kupić, i pierożki, i wszystko. A kiedyś nic. Stało się przy stolnicy i się gniotło...

Pacjentka: Ja to nawet stolnicy nie mam...

Położna: A to trzeba kupić. Co się samemu zrobi, to najzdrowsze.

Pacjentka: Ale czasu nie ma na to robienie...

Położna: Jak można narzekać na brak czasu, jak teraz wszystko gotowe?! Ja was nie rozumiem. Moje synowe też narzekają. Słoiki gotowe dla dzieci macie, pampersy macie, zmywarka gary myje, samochód każdy ma i w kolejkach nikt nie stoi, czasu nie traci... Ja nie wiem, co wy z tym czasem...

Pacjentka: No w sumie ja też nie wiem... Tak się uтарыło. Pójdę już chyba, bo syna ze szkoły muszę odebrać...

Położna: A ile synek ma?

Pacjentka: Dziesięć lat jesienią skończy.

Położna: To po co takiego dużego chłopaka odbierać? Klucz na szyję i niech sam do domu wraca. Gdybym ja swoich synów ze szkoły tak odbierała, to by mi doby zabrakło. Tylko przyprowadź i zaprowadź by było. Każdy o innej porze kończył, potem basen, piłka, bo ich do sportu ciągnęło. A teraz to te dzieciaki takie mało samodzielne, takie wypieszczone. Wszystko za nich rodzice robią. No a potem taki jeden z drugim do nauczycielki – Nie będzie mi tu jakaś kurwa uwagi zwracała, jak mam się ubierać. Słyszała pani? Mówili w telewizji. I ta nauczycielka do dyrektora idzie, a on jej na to, żeby nie prowokować... Nie prowokować gówniarzy! Kiedyś to krótka piłka by była. Wyrzucony jeden z drugim ze szkoły z wilczym biletem i do OHP, do łopaty! Ja wiem, co mówię. W końcu trzech chłopaków miałam. I wszystko się dla nich robiło, ale jak trzeba było, jak coś za uszami mieli, to się kłapa dało. I na ludzi wyszli.

Pacjentka (*próbuje wstawać z krzesła, powoli zmęczona słowotokiem położnej*): To do widzenia. Jednak na razie syna odbieram, dla jego bezpieczeństwa. Myślę, że to nie sprawi, że do nauczycielki będzie zwracał się per kurwo.

Położna: Niech pani siedzi! To znaczy – do gabinetu z powrotem zapraszam. Ciśnienie na wszelki wypadek zmierzę. Może trzeba będzie w szpitalu już zostać...

Pacjentka (*ruszając do gabinetu i siadając na krzeselku*): Raczej nie. Umówiłam się z lekarzem na sobotę.

Położna: To umówić się pani mogła, wolność mamy. Ale ten lekarz ma żonę.

Pacjentka: Ale ja na rodzenie umówiona jestem.

Położna(*zapinając ciśnieniomierz na rękę Pacjentki*): Na rodzenie? Teraz to wszystko chcecie mieć zaplanowane. Kiedyś to i ciąża i poród niespodzianką były. My z mężem niecałe pięć miesięcy się znaliśmy i już trzeba było na zapowiedzi dawać. I może to niegłupie było. Dziecko pierwsze się rodziło, jak się miało dwadzieścia lat, a nie tak jak teraz – trzydzieści pięć. Tak odwlekacie te ważne decyzje, odwlekacie, a potem tylko kłopoty z tego. Rodzić trzeba, jak się jest młodym, a nie jak ta, nie przymierzając, ta aktorka znana, na K ma nazwisko...

Pacjentka: Kożuchowska.

Położna: No właśnie. Po czterdziestce się dopiero zdecydowała.

Pacjentka: Może wcześniej nie mogła?..

Położna: No może i nie mogła, ale teraz to nie jest wyjątek. A ciśnienie ma pani dobre – 80/120. I taka szczuplutka pani jest. Ja to w ciąży ze 30 kilo przytyłam. Moje koleżanki z resztą też. Nikt tam się w ciąży nie oszczędzał. Jadło się za dwoje. Potem wór się na siebie taki zakładało...

Pacjentka: Ale to chyba takie dobre nie było?

Położna: Nie, nie... Oczywiście, że z tym tyciem to przesada. Teraz wszystkie dbacie o linię i dobrze – nie ma obciążenia dla kręgosłupa, diet drakońskich nie trzeba stosować po porodzie. Tak ładnie brzuszki opinacie, takie ładne bluzeczki są, sukienki, takie fajne portki ciążowe... Ja kiedyś w lecie w kawiarni na dworze siedzę, z koleżanką na kawę wyszłyśmy i przychodzi taka młoda dziewczyna w ciąży. Nogi długie pokazała w mini, dekolci też spory, opalona cała. I tylko ten brzuszeczek jakby od kogoś innego. No mówię pani, aż nas zatkało z wrażenia. Z resztą faceci też wpatrzni w nią byli. Piwo bezalkoholowe chyba, tak myślę, zamówiła. Kto

kiedyś widział takie zjawiska? Poubierane w takie wory byłyśmy, jakby ta ciąża to jakiś grzech był a nie dobrodziejstwo, wstyd jakiś, co to trzeba schować. Albo kto widział męża przy porodzie? Samemu się zostawało. Golenie, lewatywa, parcie i koniec rodzenia. Mężowi z okna można było pomachać, dziecko przez szybkę pokazać. Samemu się dziecko na karmienie dostawało, ale przynajmniej można było trochę odpocząć, bo i usiąść na tyłku nie można, piersi bolą. Boże! Jak sobie to przypominam, to aż gęziej skórki dostaję. Teraz to nawet po cesarce dziecko każą nam matce dawać i niech sobie kobieta radzi. A wracając do mężów – zarządzać chcą porodem, a na niczym się nie znają. Proszę natychmiast dać mojej żonie znieczulenie! – wrzeszczał taki jeden. Ja mu spokojnie tłumaczę, że żona już dostała. Za mało! – dalej się gorączkuje. A żona jakoś się zablokowała i widać, że ten chłop tylko jej przeszkadza. To ja do niego: Pan sobie wyjdzie na chwilę na korytarz, może na dwór nawet na papieroska? - tak sobie żartuję. I jak on wyszedł, ona tak się zaparła, że maluch zaraz się urodził. Tak to wygląda. Nie zawsze ta obecność mężów przy porodzie kobietom na dobre wychodzi. Albo taki inny facet – żona jęczy, a on drzemie na fotelu, po jakiejś nocce w pracy przyjechał. No bez sensu zupełnie. U nas na porodówce to widać, jak małżeństwa się dogadują. Albo nie dogadują. Ale są też piękne chwile, mężowie, co się nie wtrącają, tylko żonę pogłaszczą, przytulą i oboje płaczą, jak się dziecko im urodzi. Zwłaszcza jak długo czekali, a takich par to teraz bez liku.

Pacjentka: Ja sama się zastanawiam, czy męża brać. Najchętniej sama w lesie bym urodziła.

Położna: Jaki las?... Teraz to pełna kontrola nad wszystkim musi być. Przygotowanie porządne do porodu, nic intuicji się nie pozostawia. Szkołę rodzenia państwo zaliczyliście?

Pacjentka: No właśnie nie, bo mi się wydaje, że rodzić to się nie da nauczyć.

Położna: Ja powiem pani szczerze, a położną jestem 25 lat, że nie można. Albo ktoś ma tak, że rodzi lekko, albo tak, że ciężko. I tutaj szkoła rodzenia nic nie da. Ale moda jest,

zapotrzebowanie jest, to i szkoły rodzenia są. Teraz takie czasy, że cały czas trzeba się szkolić. No a my tu gadu gadu, a robota czeka. Papierów do wypełniania mamy masę. Za komuny tak nie było. To znaczy może i było, ale już człowiek nie pamięta.

(macha ręką i przegląda kartotekę)

Scena 3

Pokój w mieszkaniu, kobieta w ciąży, ta sama co w scenach wcześniejszych, krząta się i rozmyślając zagląda do wielkiej walizki, stojącej na łóżku.

Pacjentka: To chyba wszystko już spakowałam. Dla siebie – 2 koszule nocne, 2 staniki do karmienia, 5 par majtek bawełnianych, chociaż mówią, żeby nie nosić, podpaski, 2 ręczniki, chusteczki mokre, szczotka do zębów, pasta, mydło do higieny intymnej dla matek, oczywiście bez parabenów, sztucznych barwników, alergenów zapachowych, pH naturalne, suszarka z opcją podkręcania. Nie wiadomo, może się przyda. W końcu jak się rodzi dziecko, to nie znaczy, że człowiek jak czupiradło ma wyglądać przez następne trzy dni. Puder w kremie, róż... Kurwa! Po co mi róż? Chyba zgłupiałam. Raczej nie muszę wyglądać jak panie z reklamy – młode matki tuż po porodzie, uśmiechnięte, makijaż na ful, tulące swoje dzieci do piersi, które to dzieci od razu pierś z uśmiechem ssą, tuż po porodzie, zaznaczymy. No Antoś *(kobieta głaszcze się po brzuch)*...Jak się czujesz? Ja coraz gorzej. Ja wiem, jak to wszystko wygląda. A ty nieświadomy jeszcze smaczniutko sobie śpisz w moim brzuchu i nie wiesz, co cię czeka. To musi być dla dziecka szok! Tak nagle – jasno, zimno i boli. Bo a to czyszczą gardło, a to nos, a to na wagę zimną mogą położyć i klapsa nawet w tyłek przyłożyć...

O! Tata dzwoni! Halo! No cześć. Nie . Jeszcze się do końca nie spakowałam. Nie zdążysz po Stasia? No nie wiem... Może się jakoś dotoczę...

Korki. Wszyscy stoją w korkach. Po co w ogóle samochodami jeździć? Właściwie – stać. Po co samochodami stać? Ja tam wolę tramwaj. Prawie nigdy nie stoi. Ja za to w nim stałam nie raz. I jak kiedyś jakiś miły pan mi miejsce ustąpił, to byłam w szoku. W dniu życzliwości dla kobiet w ciąży. Na monitorach w tramwajach reklamowali. Każdy teraz ma wzrok przykuty do komórki. I palec przyklejony do klawiatury. Nikt się na boki nie rozgląda. Po co? Żeby jakąś babcinę zobaczyć albo ciężarówkę, co to im miejsca trzeba ustąpić? Nie ma też zbyt wielu czytelników, w sensie osób zatopionych w lekturze. Podobno ponad połowa Polaków nie trzymała w ubiegłym roku żadnej książki w ręku, a co dopiero mówić o czytaniu. Z książek można się dowiedzieć na przykład, że warto być empatycznym, że dobrze czasami nie mieć wszystkiego w dupie. No ale jak nikt nie czyta, to i wrażliwości mniej. Mój ojciec, chociaż całe życie na budowie pracował, łopatą machał, to czytał. Normalnie. Regularnie. O 15.00 kończył robotę i wracając do domu zachodził do księgarni. A teraz do księgarni podobno rzadko nawet studenci zachodzą. Czasami bywają tam studenci polonistyki. No i mój ojciec. Mama też by poczytała, ale ma zdecydowanie za mało czasu. A to teściową z demencją trzeba się zająć, a to matkę schorowaną odwiedzić, a to do Niemiec do roboty wyjechać. Taki los. Najpierw swoje dzieci trzeba było odchowić, dopilnować, żeby maturę zdały, żeby studia pokończyły, a później robi się na wszystko za późno.

O Boże! O czym ja myślę! Antek! Przywołuj matkę do porządku, kiedy zaczyna głądzić! Dla ciebie pajacyki mam, pampersy, bluzeczki fajne i kocyk, i rożek, i oliwkę, oczywiście bez parabenów, sztucznych barwników, alergenów zapachowych, pH naturalne. I ciastka kruche. Nie! Nie dla ciebie. Dla taty. Bo gdybyś na przykład rodził się trzy dni, to ojciec mógłby zgłodnieć, a matka musi być przewidująca. Ja ciastek nie ruszam – wiadomo – po urodzeniu dziecka trzeba błyskawicznie dojść do formy. Słodycze są niewskazane. Można jeść jabłka. Nie powinno się też jeść nic tłustego, pikantnego, solonego, czosnkowego, wzdymającego. Nabiał może uczulać dziecko, czekolada, orzeszki i cytrusy też. Chipsy są niewskazane nawet

dla nie – matek, są wręcz trujące, więc pamiętam, że jak urodziłam Stasia, to jadłam tylko chude mięso pieczone w folii, ziemniaki z wody i buraki. A na deser – jabłka. A Stach jak miał kolkę, tak miał. Jak się darł w niebogłosy, tak się darł. Ale na szczęście tylko przez dwa miesiące. Raz leżę już o północy w łóżku, a Maciek mówi: Nie zmyłaś makijażu. Masz takie ciemne plamy pod oczami. Ja na to: Jaki makijaż? Człowieku! Sińce ze zmęczenia mam, a nie żaden makijaż. I odwróciłam się od niego plecami i po dwóch minutach już spałam. A Maciek nie mógł zasnąć. Wtedy i wiele razy później. Bo mu głupio było, że nie jest tak zmęczony jak ja i że nie ma się do kogo przytulić. Ale czas szybko leci. Kolki dzieciom mijają, katarki, ząbki też. I nagle ze Stasia robi się Stanisław. I zupełnie nieoczekiwanie zaczyna się tęsknić za tym specyficznym, do niczego niepodobnym zapachem małego dziecka - zapachem oliwki i ulanego mleka... I tęskni się za tym płaczem w nocy, gaworzeniem, pierwszym słowem – mama, tata, brum , brum... No i już rozklejona jestem. A tu płacz małego dziecka czai się za rogiem. Prawda Antosiu? Wszystkie te atrakcje przed nami. No! To co zabieramy jeszcze do tego szpitala? Kapatki. Kapatki są najważniejsze. Ostatni raz je kupowałam, kiedy rodziłam Stasia, to znaczy dziesięć lat temu. Kapatki ogólnie nie noszę. Również ich nie znoszę. Zawsze biegam boso. Ale w szpitalu – wiadomo – kapatki są wymagane. Mam już takie ładne – nowe, różowe. I dokumentacja z przebiegu ciąży. Wszystkie te morfologie, mocze, toksoplazmozy, USG, OB, KTG. Nawet badanie na obecność wirusa HIV. Normalnie strach mnie obleciał, jak dostałam to skierowanie. Irracjonalny zupełnie, bo całe dotychczasowe życie z jednym facetem, zero operacji, zero narkotyków. Ale samo słowo HIV ma magiczną moc. Poza tym nie wiem, jak wstrzemięźliwy jest mój mąż. Wydaje się, że raczej tak. Kto by z resztą miał czas na jakieś skoki w bok? Czas się skurczył, zwinął w kłębek czy jakoś tak... Praca, praca, praca. Każdy przywalony nadmiarem obowiązków. Kiedyś to z koleżanką w biurze kawy można było się spokojnie napić, poplotkować, imieninki zrobić. A teraz jak się z roboty wychodzi, to człowiek myśli, ilu rzeczy jeszcze nie zrobił. No i wszyscy potrzebują czegoś na

wczoraj. Kiedy ja w kinie byłam? W teatrze to chyba ostatnio na studiach. Na koncercie? Do pracy dwa tygodnie temu przestałam chodzić. Wielki brzuch, wielki mróz i się człowiek jakoś toczył. Bo to jeszcze trzeba coś dokończyć, czegoś dopilnować. Dowartościować się trzeba jakoś, dopieścić. Tak bardzo mnie potrzebują. Nie dadzą sobie rady beze mnie. Tak cudownie nie mieć czasu. Mówić o tym. Powtarzać to jak mantrę. Hipnotyzować się zdaniem NIE MAM CZASU. A w gruncie rzeczy to znaczy – WYPINAM SIĘ NA WSZYSTKO – na chore dziecko (matka się zajmie), na syf w domu, brudy w koszu (niech leżą), zrzędlivego męża (niech zrzędzi do ściany), pustą lodówkę (nikt jeszcze z głodu nie umarł, jest pizza na rogu). Mam to w dupie. Maluję się i wychodzę do PRAWDZIWEJ pracy. Takiej, za którą mi PŁACĄ. Bo jak nie płacą, to znaczy, że nic się nie robi. W domu się siedzi. Siedzę z dzieckiem – tak niektóre babki mówią. Ja nie. Ja z szacunku do siebie, mojej matki, babki i moich koleżanek nigdy nie mówiłam, że siedzę w domu. Bo w domu ciągle się chodzi, stoi, podnosi, przewija, sprząta, gotuje, pierze, a nawet dorabia. A często robi kilka rzeczy naraz, na przykład jednocześnie karmi dziecko, gotuje i robi makijaż. Po prostu mistrzostwo świata. Ja bez makijażu nie wychodzę z domu. Zmęczenie zamalowuję zawsze. Poza tym, kiedy robię makijaż, nikt mi nie przeszkadza. Jak czytam książkę, oglądam film, zawsze ktoś czegoś ode mnie chce: Mamo, zobacz, jaki fajny dom zbudowałam! Mamo, możesz zrobić mi kanapkę? Czy mogę pograć na komputerze? Tą koszulę szarą to z ciemnymi się pierze? O nie!!! O siedzeniu nie może być mowy. Chyba, że na kiblu. Tam czasami ma się chwilę spokoju.

(aktorka zgina się wpół, wydaje z siebie krótki jęk)

No co jest? Antek! Nie żartuj sobie. Z lekarzem umówiłam się na jutro. Będzie miał czas. I znieczulenie będzie. I spokój będzie. Może byłoby nawet miło. O Boże! Wody mi odchodzą!
O kurwa!

Akt II

Kobieta leży na łóżku porodowym, jęczy. Położna stoi obok.

Położna: Pani prze! Mocno!

Pacjentka: Nie mogę! Ile to będzie trwało! Znieczulenie miałam dostać!

Położna: Nie ma – nie mogę! Musi pani! Na znieczulenie jest za późno i nic pani nie da.

Zaraz będziemy finiszować. Pani się podnosi na trzy i prze!

Pacjentka: Ale ja nie wiem, co to znaczy przeć!

Położna: No jakby pani zatwardzenie miała i chciała zrobić kupę. No! Na trzy!

Pacjentka: *(krzyczy)* Aaaa!

Położna: Jest, jest! Panie doktorze! Szybko! Mamy go! Mamy chłopaka! Blondyn śliczniutki!

(położna kładzie dziecko na piersi mamy i zostawia ich sam na sam)

Pacjentka: Ty chłopaku mój najdroższy, synu okropny, kochany. No mamy cię, maMY...

Niech już i tak będzie. Mamy cię, mamy się, ty masz nas...

(w tle rozbrzmiewa piosenka „Okruszek” w wykonaniu Seweryna Krajewskiego)

Akt III

Scena 1

Pokój i kanapa te same co w scenie 3 aktu I. Dodatkowo łóżeczko i zabawki dziecięce. Po pokoju krząta się Pacjentka zwana tutaj Matką. Siada przy łóżeczku i głaszcze czule dziecko. Z głośnika dobiega głos:

Lekarka: To jest wada mózgu. No nie wiem, dlaczego dopiero teraz z dzieckiem pani do nas trafiła?.. Duża - nawet bym powiedziała. Ale poza tym, to nic nie wiem. Nie jestem prorokiem. Rehabilitować dziecko trzeba. Dużo. Metodami różnymi. Poddawać stymulacji, bodźcować. To nie zaszkodzi. Od zaraz najlepiej się za to zabrać. Na wakacje nie jechać. Ćwiczyć. Dużo ćwiczyć trzeba. Mózg jest elastyczny i jeszcze wiele może się zdarzyć. Na razie zadziało się źle, ale synek ma szansę. Pani się źle czuje? Nie... Widzę, że nie najgorzej. Bo jak źle, to coś na uspokojenie mamy. Padaczkę też synek ma. Pani napadów u dziecka nie widziała? To jakieś małe mogły być. Pani na you tube sobie takie filmiki poogląda... Często rodzice zamieszczają. Kilkadziesiąt rodzajów tych napadów jest, to pani nie powiem, który u Antosia występuje. Wydaje mi się, choć w stu procentach to nie, że też dziecięce porażenie mózgowie tutaj mamy. Ale na stówę to nie mogę takiej diagnozy postawić. Obserwować dziecko dłużej trzeba. Czy jeszcze coś miałam powiedzieć?.. No... Chyba nie... Rodzeństwo w domu jakieś jest? Też trzeba się zająć. Nie zapominać. Nie zajmować się tylko chorym. O sobie też trzeba pamiętać. Do kosmetyczki pójść. Do kina. Do pracy to chyba teraz jeszcze nie... Ale później, w odpowiednim momencie... Jakies pytania? Nie ma pani w tej chwili? Jak leki ustawić, to zapiszemy w karcie wypisu ze szpitala. Rehabilitować dziecko trzeba. Są też jakieś grupy wsparcia dla rodziców dzieci niepełnosprawnych. Sami rodzice tworzą. No jakoś to trzeba sobie w głowie poukładać, wie pani...

Matka bierze dziecko na ręce, podrzuca do góry, dziecko śmieje się. Wesóło wspólnie się bawią.

Matka: No jakoś tą wadę mózgu musimy sobie w głowie poukładać... Słyszałeś, Antosiu, co mówiła pani doktor. Układam ją sobie już od miesiąca. Powtarzam kilkanaście razy dziennie: „wada mózgu”, „wa - da móz - gu”. Na głos. Wychodzi mi coraz lepiej. Już teraz prawie płynnie. Na początku w ogóle nie chciało mi przejść przez gardło. Na początku mówiliśmy z Maćkiem „wada w układzie nerwowym”. Tak eufemistycznie, medycznie, tak profesjonalnie i nic nie znacząco. Układ nerwowy... Właściwie gdzie to jest? Właściwie po co? No taka nic nie znacząca wada w tajemniczym układzie. Co innego mózg. W mózgu jest wszystko. Od mózgu wszystko zależy. Wada mózgu u twojego dziecka to już wiadomo – koniec. Wszyscy miękną. Twoi najwięksi wrogowie ci współczują i oferują pomoc, najwięksi przyjaciele boją się o cokolwiek spytać, żeby nie zrobić ci przykrości, ludzie, którzy mieli dotychczas cię w dupie, zaczynają się tobą na serio interesować. Dostajemy codziennie dziesiątki porad lekarskich, często ze sobą sprzecznych – sadzać, nie sadzać, stawiać, nie stawiać, kupić buty ortopedyczne, nie kupować, jechać na wakacje, nie jechać. Zajebać się można. I jeszcze – MUSICIE państwo zbierać pieniądze. DUŻO pieniędzy, bo niepełnosprawne dziecko kosztuje. O nie! Nie tylko o pieniądze tu chodzi. Gdyby tylko od kasy zależało zdrowie naszych dzieci, to by wszystkie były zdrowe. Ukradłoby się, odsiedziało swoje, a dziecko by zdrowe było. Nie... Nie tylko o to tu chodzi... Chociaż niektórym głównie o to. Na niepełnosprawnych świetnie można zarobić. Sprzedawać im złudzenia. Są w cenie. Są pożądane. Dobrze, Antosiu, że twoja matka nie kupuje złudzeń... Ha, ha... I tak naprawdę ma wszystkich w nosie, żeby nie powiedzieć w dupie.

Scena 2

(tylko głosy z głośnika)

Głos: Pani to ile tych pieniędzy dostaje za opiekę nad niepełnosprawnym dzieckiem? Kiedyś słyszałam, że to jakieś grosze były... 600zł... czy coś takiego... Teraz podobno więcej i jeden procent można zbierać na leczenie. A mój niepełnosprawny sąsiad to sobie tak mieszkanie za pieniądze z pefronu odstawił – nowe futryny, szerszy korytarz, łazienka...

Matka *(sarkastycznie)*: To pani się z sąsiadem zamieni. Na wózek inwalidzki niech pani wsiada i ziuuu do tej łazienki!

Scena 3

Ten sam pokój, co w scenie 1. Matka z synem gra w jakąś grę planszową na podłodze.

Głos (z głośnika): Wie pani... Dziecko to taka wizytówka... A nasz Wiktorek... to rozumie pani, bo przecież takie samo dziecko ma... My z synem to i do Szwajcarii pojechaliśmy, i do Stanów, ale to zupełnie nic nie dało. A chciałoby się zdrowe dziecko mieć. Czy to tak wiele? Ciągle się zastanawiam – kiedy wreszcie będziemy mieli normalne życie? Bo jak dotychczas – choroby, szpitale, badania, rehabilitacja i tak w kółko. Mąż to się zamyka na cały dzień w swoim pokoju i pisze, bo on jest pisarzem. A ja się zamknąć nie mogę, bo Wiktorkiem ciągle trzeba się zajmować. W łódzkiej filmówce wzięłam urlop dziekański, bo nie miałam czasu chodzić na zajęcia. Ja reżyserię studiuję... Chociaż właściwie teraz mam przerwę... Jak długo to potrwa? Mówiąc szczerze, a jeszcze tego nikomu nie mówiłam, to czasami żyć mi się nie chce. Wkurwiona jestem na to wszystko, nie mam cierpliwości i siebie chciałabym jakoś wyrazić, kamerę wziąć do ręki, karierę zrobić, a nie chore dziecko pielęgnować. Jak bym

chciała zajmować się chorymi, to na akademię medyczną bym poszła. W ogóle nie planowaliśmy tego dziecka. Mąż ma już syna z pierwszego małżeństwa, a ja dzieci tak umiarkowanie lubię... Nie wiem, po co to wszystko pani mówię. Ale tak siedzi się w tym szpitalu, to się plecie trzy po trzy. Potem pewnie się już nie spotkamy. Pani to widzę taka spokojne jest, pokory ma dużo w sobie, na plecy weźmie problem i pójdzie dalej. Ja tak nie potrafię. Ja uważam, że niesłusznie mnie to wszystko spotkało, po prostu zgody we mnie na to nie ma. I najgorsze, że nie wiem, co będzie dalej...

Matka (*do syna podczas gry*): To chyba jest najlepsze, że nie wiadomo, co spotka nas jutro. Myślę, że jeszcze życie nas zaskoczy. In plus oczywiście, bo in minus to już było. No nie, synu? Jeszcze jeden rzut kostką... O proszę – szósteczka, meta i wygrałam!

Matka, śmiejąc się, przybija piątkę z synem. W tle refren piosenki zespołu Farben Lehre „Mimo wszystko”. Światła na scenie gasną.

KONIEC

